

Przekłęte szczęście

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

PRZEKLĘTE SZCZĘŚCIE

Bolesław Prus

I. TROCHE ŚWIATŁA

Pan Józef i pani Helena Wilsy zaślubieni byli dopiero od pół roku. Działo im się dobrze na tym świecie, choć — nie najlepiej. Mieli trzy pokoje, w nich mebelki, takie tam, — nieosobliwe; parę obrazów oleodruków, które im ofiarował družba, i starą sługę Mateuszową, która przyszła Bóg wie skąd, ale jeść gotowała niezgorzej.

Do inwentarza tego pani Helena wniosła niewiele. Naprzód kanarka, którego wraz z klatką podarowała jej ciotka. Ciotczysko ubogie, to i prezent nie był kosztowny, ale że jadł i śpiewał, cieszą się więc nim i powieszono w oknie, jak należy.

Razem z kanarkiem wkwaterował się kuferek z bielizną, jeszcze jeden kuferek z sukienkami, pudło z kapeluszem i toaleta niewiadomo z czem. Dorożkarz, który przywiózł to biedactwo, dostał pół rubla i był kontent, a Helunia, ustawivszy kufarki, pudełko i toaletkę na właściwych miejscach, także była kontenta, nawet bardziej niż dorożkarz.

W kilka dni po wprowadzeniu się do nowego gniazda, pomiarkowawszy, że jej czegoś brak, sprawiła sobie fartuszek z kieszeniami i napierśnikiem. Czysty to był fartuszek jak złoto i miał u dołu falbanki; młoda gosposia ubrała się w niego czem prędzej i chodziła całą dobę, trzymając ręce w kieszeniach, a nazajutrz schowała go do szafy, gdzie leży po dziś dzień. Prawdę powiedziawszy, nie było do czego stroić się w fartuszek.

W tydzień potem przybył nowy frasunek w domu, w następstwie którego pani Helena zawiesiła w oknach bardzo gęste muślinowe firanki. Mąż przyznał, że dobrze zrobiła, choć nie wiedział dlaczego; ale ja wiem. Miał ten pan brzydki, choć nie zupełnie grzeszny zwyczaj często całować żonę. Całował ją w pierwszym pokoju, w drugim i trzecim, na krześle, pod lustrem i przy oknie, a zawsze w sposób wyczerpujący. Naprzód w lewą rączkę, potem w prawą rączkę (albo naodwrot), potem w szyjkę z czterech stron, potem w buzię ze wszystkich stron...

Są fakty, dowodzące, że panią Helenę całusy nie nudziły, ani martwiły, lecz niewątpliwem jest, że w czasie tych uroczystości odwracała głowę od okna. Mąż przyznawał, że jest to zabawne, choć nie wiedział, dlaczego odwracała głowę od okna, ale żona wiedziała, że robi to z obawy. Naprzeciw nich bowiem było inne okno, a w niem pewien żółty starzec z rzadkimi faworytami siwemi. Ile razy młodzi poczynali się całować, tyle razy staruch ukazywał się w swoim oknie, w białej szlafmicy, z ponsowym fontaziem na wierzchu, i śmiał się, mrużąc oko i pokazując jeden zęb taki żółty, jak on sam.

Helunia ze złości kupiła dziesięć łokci muślinu i pozaalaniała wszystkie okna. Od tej pory, zamiast skrzywionej twarzy sąsiada, widziała tylko ponsowy fontaż jego szlafmicy, który trząsał się jak galareta, prawdopodobnie z wielkiej irytacji. Dobrze tak dziadzkowi, niech się nie śmieje!...

Na śmierć zapomnieliśmy dodać, że oprócz niewielkich kufrów, pudełka, toaletki i kanarka, przyniosła Helenka na nowe gospodarstwo jeszcze coś. Ale co?... Nie suszcie sobie, ludzie, głowy na próżno, bo nigdy nie zgadniecie!... Oto przyniosła parę rączek drobnych, białych i pulchnych, a z nimi pracowitość mrówki; do tego zwój włosów gęstych i miękkich jak jedwab, i dwoje oczu jak pogodne niebo; wreszcie nosek zadarty, i usta koralowe, i zęby drobne a białe, i serce takie szczere a czyste, takie kochające i wierne, jakiego, ach! ludzie dobrzy, trudno między nami odszukać.

Pewnego dnia (miała już wtedy lat siedemnaście), dzisiejszy mąż jej, a ówczesny student szkoły politechnicznej, rzekł do niej:

— Chciałbym pani coś powiedzieć...

— Niech pan powie — odparła.

— Kiedy się boję!...

— To musi być coś niedobrego?

— Kocham panią.

Helenka otworzyła usta ze zdziwienia, a potem odpowiedziała:

— A wie pan, że... to dobrze.

— A pani mnie kocha?

— Czy ja wiem?...

— A będzie pani czekać na mnie?

— O, niezawodnie!

— Mam pani słowo. Jak skończę szkołę, pobierzemy się.

— Proszę być przyzwoitym! — zgromiła go Helunia.

Tyle tylko mówili o miłości, a we trzy lata pobrali się.

Władysław był mechanikiem, co jego żonę obchodziło niewiele, i miał opinią zdolnego i szlachetnego człowieka, a to ją obchodziło więcej. Miał przytem ładną figurę, czarną brodę i włosy, piwne oczy i piękną twarz,— co Helunię obchodziło jeszcze więcej. Wreszcie kochał ją, a ona za nim szalała.

Rezultatem takiej kombinacji zdrowia, urody i przywiązania była wielka radość w trzech pokoikach na drugim piętrze, przez całe pięć miesięcy bez czegoś. Od kilkudziesięciu dni jednak na horyzoncie małżeńskim ukazał się punkt czarny: Władysław nie miał roboty!

Bankier Welt, przy którym Wilski w ciągu roku zarobił półtora tysiąca rubli, jakoś od dnia ślubu zaniedbał mechanika, a wreszcie zupełnie się od niego odsunął. Pozostały oszczędności, nadzieje i robota dorywcza, wszystko to jednak nie wystarczało na utrzymanie domu. Ograniczono więc wydatki, zmieniono ostatnią dwudziestopięciorublówkę i... wydano przedostatniego rubla!...

Dzień ten był bardzo przykry dla małżonków. Władysław, unikając wzroku żony, zamknął się w swoim pokoju po to, aby robić sobie wyrzuty, że unieszczęśliwił kochającą go kobietę. Helunia znowu, widząc męża zmienionym ze smutku, sobie przypisywała kłopoty i mówiła:

— Mój Boże! gdyby on się ożenił z bogatą?... Jabym chyba umarła, ale nacóżem ja się zdała komu na świecie?!...

Zeszłego kwartału sprawiłam sobie aż za dziesięć rubli sukienkę!... Ach! gdyby ją kto odkupił!...

Tak myślała, stąpając na palcach i oglądając swoje kwiatki. Niekiedy podchodziła pod zamknięte drzwi mężowskiego pokoju i słuchała. Ale tam było cicho. Natomiast z kuchni dolatywał łoskot przesuwanych rondli, a z okna świergotanie kanarka.

— Czego ten kanarek tak wrzeszczy?... — odezwał się nagle Władysław z odcieniem niecierpliwości w głosie.

— On już będzie cicho! — odpowiedziała Helenka, a następnie, zbliżywszy się do klatki, dodała półgłosem:

— Cicho, mój ptaszeczku, cicho!... Pan się gniewa na nas, cicho!...

Kanarek spojrział na nią naprzód jednym okiem, potem drugim, ruszył ogonem na prawo i na lewo, a potem zaświergotał jeszcze głośniej.

Przestraszona Helenka nakryła mu klatkę czarnym szalem, i ptak uspokoił się.

— Teraz pewnie będzie spał — rzekła i przystąpiła do drzwi mężowskich.

Położywszy jednak rękę na klamce, jakby spłoszona swoją śmiałością, cofnęła się na środek pokoju i stała tak parę chwil, tłumiąc oddech w piersiach.

— Nie można mu przeszkadzać! — rzekła i, wprowadzając w czyn tę uwagę, otworzyła drzwi.

— Czyś mnie wołał, Władziu? — spytała.

— Nie.

Zbliżyła się ostrożnie do siedzącego męża i pocałowała go.

— Myślałam, żeś mnie wołał.

— Ten kanarek mnie drażni — odparł Władysław.

— Przykryłam go, już śpi. Znowu go pocałowała.

— A jeżeli będziesz czego potrzebował — mówiła dalej — to zawołaj... Jestem ciągle w drugim pokoju...

I znowu go pocałowała.

Potem popatrzyła chwilę na smutną twarz męża i wyszła pocichu, zamykając drzwi za sobą...

„Rzekł onego czasu Pan Bóg: Nie być człowiekowi samemu...

„A gdy stworzył Pan z ziemi wszelki zwierz polny...

„Tedy przypuścił twardy sen na Adama, i zasnął; i wyjął jedno żebro jego i zbudował Pan z żebra onego (które wyjął z Adama) niewiastę i przywiódł ją do Adama..."

O, Panie! o, Panie!

II. TROCHE CIENI

Pokój Władysława był obszerny i widny, jak przystało na pracownię technika. Prócz niezbędnego biurka, szelonga i krzesła, był tam stół do rysunków, mały warsztat ślusarski i stolarski do robienia modeli, książki, plany, modele i mnóstwo narzędzi, które mają przywilej budzenia ciekawości profanów. Na wszystkim tem jednak znać było bezrobocie. Ani jeden wiórek, ani jedna szczypta opiłków nie zanieczyściły warsztatu. Tusz i karmin w miseczkach wyschły, plany pożółkły, a na rajzbretach i rozpoczętych rysunkach leżała warstwa kurzu.

Władysław czytał z hydrauliki rozdział o turbinach. Gdy weszła żona, z niewymowną goryczą przypomniał sobie, że przed tygodniem żądano od niego planu turbinowego młyna, wczoraj zaś odpowiedziano mu, że młyn kto inny zbuduje.

— Miałem też poco pracować lata całe, wśród niedostatku! — szeptał, pomyślawszy, że owym lepszym od niego ktosiem był cieśla od wiatraków, który plany z patyków układał.

Po tej uwadze rzucił hydraulikę i wziął się do rachunku całkowego. Tu wzrok jego padł na formułę: $T(1) = T(2) = 1$, i otóż przypomniał sobie, że ma tylko jednego rubla w domu!

— Ja mógłbym jeść przez parę dni suchy chleb, do którego się przyzwyczaił, — ale ona?!...

„O mnie nie myśl, mój Władziu... Ja mogę jeść suchy chleb, nieraz mi się to przecież zdarzało...”

Obejrzał się, ale w pokoju nie było nikogo. Teraz dopiero przypomniał sobie, że słowa te przed kilkoma dniami powiedziała mu Helunia.

„Ja tam z państwem za jedno; jak państwu tak i mnie!...” odpowiedziało echo wspomnień głosem Mateuszowej.

— Wielki Boże! jakież ze mnie egoista!... — pomyślał, i krew uderzyła mu do twarzy.

Z tem wszystkim, na trzy osoby jest w domu rubel!... Odwrócił kilkanaście kart książki i trafił na formułę prawdopodobieństwa zdarzenia przyszłego ze zdarzeń przeszłych.

— Jeżeli przez czterdzieści dni nie miałem roboty, jakie jest prawdopodobieństwo, że ją jutro dostanę?

— Jedna czterdziesta pierwsza! — odpowiedziała formuła.

— Ciekawym bardzo, jakie też jest prawdopodobieństwo, że zostanę złodziejem lub samobójcą?...

Formuła milczała.

Przez okno widać było śnieg topniejący na dachach, parę napuszonych wróbli i skraj nieba. Władysław podniósł oczy na niebo i pomyślał, że dziś jest połowa marca, i że nie prędzej jak w maju dostanie miejsce rysownika w fabryce, z pensją trzydziestu rubli na miesiąc, za dziesięć godzin pracy!...

Odrzucił rachunki i wziął Maksymy Epikteta. Filozof niewolnik bywał często lekarzem zboląlej duszy; Władysław otworzył książkę i począł kartki przewracać.

„Wygnań twoje pragnienia i obawy — mówił mędrzec — a pozbędziesz się tyrana”.

„O, ślepy i niesprawiedliwy! Mógłbyś tylko zależeć od siebie, a chcesz zależeć od tysiąca rzeczy, które ci są obce i które oddalają cię od prawdziwego dobra!...”

Władysław nagle przestał czytać i słuchał. W drugim pokoju szeptano.

— Pani! — mówiła Mateuszowa — kobieta masło przyniosła.

— Nie wezmę dziś — odparła Helunia.

— Śliczności masło, pan takie lubi...

— Niech przyjdzie na drugi raz.

— Co tu czekać na drugi raz?... ona już nie przyjdzie tak prędko! Zresztą... ja kupię za swoje, to pani mi odda. Mam. przecie trzynaście rubli...

Chwila milczenia. Władysławowi ręce opadły.

— Powiedziałam Mateuszowej, że nie chcę! — odparła Helunia.

Służąca oddaliła się, mrużąc.

— Mam rubla! — szepnął Władysław. Potem przypomniał sobie, że dziś jest środa, i że jutro przyjdzie do nich na obiad pewien ubogi student, brat zmarłego kolegi.

„Nie pragnij, aby w świecie działo się tak, jak ty chcesz, ale chciej, aby się działo tak, jak się dzieje, a będziesz zawsze zadowolony”.

Władysław ruszył ramionami, złożył książkę i upadł na szezlong. Podobna filozof ja dobrą była dla ludzi, którzy wypiuwszy czarną kawę, idą spać po smacznym obiedzie, albo dla tych, w których cierpienie wypłeniło już wszelkie uczucia.

Leżąc na szezlongu, przymknął oczy, jak człowiek, który chce przypatrzeć się wnętrzu swojego ducha, i ze zdumieniem rozmyślał, z jak małych przyczyn niekiedy wielkie powstają boleści!

— Jutro — mówił — nie będzie już w domu ani grosza. Gdybym był sam, śmiałbym się z tego, ale mam żonę... Ach! jej rezygnacja zabija mnie!... Od czterdziestu dni prosiłem, zebrałem o pracę i nie dano mi jej... Dziś techników więcej, niż szewców.

Wyjechać niema gdzie i niema pogo. Umrzeć?... O, Boże! a któż przy niej zostanie?... Jeżeli rzeczy zaczną sprzedawać... A jeżeli pojutrze już obiadu nie będzie?...

— Władziu!... Władziu!... patrz!... — krzyknęła nagle Helenka, wbiegając do pokoju.

— Co to jest?...

— W twojej kamizelce znalazłam pięć rubli... Wzięłam ją do naprawy i w górnej kieszeni... Patrz!...

Władysław usiadł na szezlongu, a żona upadła mu na szyję.

— Widzisz, jaki Pan Bóg łaskaw?... Mieliśmy tylko rubla w domu, tyś się martwił, widziałam to, i otóż mamy pieniądze. To na parę dni nam wystarczy, a potem będziesz miał rorotę!

— Skąd?... — spytał mąż.

— Czy ja wiem skąd?! — odparła, pieszcząc go. — Ale przecież mieć musisz, bo to już ostatnie pieniądze!

— Dziecko!

— Ciekawam bardzo, skąd one się tam wzięły?

— Przypominam sobie. Zdał mi ktoś resztę, ja schowałem pięć rubli do kamizelki, a potem pomyślałem, że zgubiłem. Rok już tam leżą!

— No, widzisz, jak to nie trzeba się martwić. No, uśmiechnij się! Tak, dobrze... Więc nie podziękujesz żonie, że ci stare kamizelki naprawia?... Ach! ty nic dobrego... Już trzeci dzień płakać mi się chce! Nie mówisz nic do twojej żony kochanej, na kanarka się gniewasz, desperujesz po kątach. No, przeproś żonę!... Tylko prędzej!... Jeszcze raz!...

Władysław czuł, że pod wpływem tego szczebiotania, a może i znalezionych pięciu rubli, spokojność mu powraca. Uśmiechnął się ze swojej rozpacz i nie mógł wierzyć prawie, że tak drobna rzecz, jak znalezienie trochy pieniędzy, może przywrócić zachwianą równowagę i zniszczyć wielką burzę duchową.

— Każę już dawać obiad — mówiła Helenka. — Mamy zupę piwną ze śmietaną, z grzankami i z serem i jeszcze kartofle osmażane.

— Uważam, że zupę rachujesz co najmniej za cztery potrawy?

— Ale, bo widzisz, dla ciebie kazałam jaj ugotować.

— A dla siebie?

— Ja jaj nie lubię. Ale zresztą... w tej chwili przyszedł mi apetyt. Każę dołożyć z parę, dla mnie i dla Mateuszowej.

Niebawem zrzędna Mateuszowa podała obiad, a Władysław zdjął szal z klatki. Kanarek, zobaczywszy światło, zatrzepotał się i począł świergotać. Towarzyszyły mu wróble na dworze, krople rosy, obficie spływające z dachu, i wesoły śmiech Helenki.

Teraz Władysławowi nie wiadomo skąd przyszła na myśl wiosna. Przypomniawszy sobie, że dzieckiem jeszcze będąc, wybiegł pewnego dnia do ogrodu, po wielkim deszczu. Trawa, wczoraj blada, dziś była zielona jak szmaragd, drzewa, okryte wczoraj pączkami, dziś pełne były młodych listków. Na ziemi stały kałuże wody, na niebie jaśniała tęcza, a w jego duszy dziecięcej obudziło się coś, czego jeszcze nazwać nie umiał.

Wszystko to przypomniawszy mu się bardzo dokładnie, skutkiem czego uściskał i ucałował żonę, która mimochodem spójrząwszy przez firankę, dostrzegła w oknie po drugiej stronie spiczastą szlafmycę z fontaziem i żółtą twarz chytrego staruszka.

Chudy starzec śmiał się jak dawniej i jeszcze mocniej przymrużał oko, lecz tym razem Helenka nie gniewała się na niego. Miłosierny Bóg tak już ten świat urządził, że młodzi mężowie cieszą się na nim pięćdziesięciu rublówkami, młode żony mężami, a staruszkowie radością młodych!...

III. WIDZIADŁA

W parę dni, małżonkowie mieli jeszcze całkowite trzy ruble, lecz widoków na robotę nie było. Mimo to cieszyli się jak dzieci i nie bez powodu. Dziś był u nich na herbacie dawny a wypróbowany przyjaciel Władysława, zarazem drużba obojga, Józef Grodzki, który w przejeździe z pod gór Uralskich do Londynu, wstąpił na kilkanaście godzin do Warszawy.

Grodzki, z powołania inżynier, od pół roku mieszkał na granicy Azji i robił tam fortunę. Był to blondyn niski i tusty, mówiący głośno, śmiejący się jeszcze głośniejszym, przytem energiczny, trzeźwego umysłu i z najlepszym sercem chłopak. Kochał Wilskich, jak własną rodzinę, i przywiózł im z odległej swojej siedziby gościńca: parę chińskich filiżanek, okruch rodzimego złota i kawał malachitu.

W tej chwili troje naszych przyjaciół siedzieli przy herbacie, a Grodzki opowiadał im swoje dzieje, które zakończył w następujący sposób:

— No, a wam jakże się powodzi?... Spodziewam się, że dobrze! Ja mam wprawdzie sześć tysięcy rubli pensji, lecz w kraju, gdzie nie wierzą w skarpetki i chustki do nosa, człowiek, chcący żyć po europejsku, musi dużo wydawać. To też zaledwie uciulałem sobie tysiąc rubli i te złożyłem dzisiaj w naszym banku. Nędza!... co?...

Usłyszawszy to, Helenka podniosła na męża swoje słodkie szafirowe oczy z dziwnie żalonym wyrazem, a Władysław lekko brwi zmarszczył. Grodzki uchwycił w przelocie tę niemą rozmowę biedaków, czegoś się domyślił i rzekł:

— Z tem wszystkiem mam duży kłopot. Obstalowano u mnie projekt tartaka parowego i takiegoż młyna. Wierny zasadzie: drzyj łyko, dopóki się da, przyjąłem obstalunki, zaceniłem po trzysta rubli sztukę, a pieniądze wziętem zgóry. Dziś, za karę, będę musiał szukać technika, któryby je wykonał, — a czasu nie mam.

— Możeby Władzio?... — wtrąciła spiesznie Helenka, oblewając się purpurowym rumieńcem.

Władysław siedział jak na szpilkach.

— Władzio?... — odparł Grodzki. — Najchętniej oddam mu robotę, byle ją tylko raczył przyjąć. No, i cóż ty, Władysławie?...

— Przyjmę!

— Brawo!... Tak to rozumiem, skończymy interes w dwu wyrazach. Notatki i pieniądze dam ci zaraz. — Z temi słowy inżynier wydobył z kieszeni bajecznej wielkości pugilares, pełen pieniędzy, weksli i notat, wyjął stamtąd kawałek papieru, zapełnionego cyframi, sześć storublowych bankocetli i wszystko to położył na stole.

— Wydobyłeś nas z ciężkiego kłopotu! — zawołał Władysław, ściskając go za rękę. Poczem opowiedział mu o swoim położeniu.

— Niepoczciwi! — wykrzyknął inżynier. — Gdybyżeście byli do mnie choć słówko napisali, pożyczylbym wam kilkaset rubli na parę lat bez procentu!...

Po podziękowaniach i obustronnych zapewnieniach o przyjaźni, rozmowa skierowała się na inny przedmiot.

— Cóż, Władysławie, jakże będzie z naszą spółką i fabryką?... — zapytał, śmiejąc się, Grodzki.

— Dojrzewa w biurku! — odparł tym samym tonem Władysław.

— Trzeba pani wiedzieć — mówił inżynier, zwracając się do Helenki — że mąż jej codziennie tworzył nowy projekt, a każdy filantropijny, choć zresztą bardzo rozsądny. Między innymi namawiał nas, w szkole jeszcze, abyśmy, powróciwszy do kraju i dorobiwszy się pieniędzy, założyli fabrykę

plótna...

— Na którą pan ma obecnie tysiąc rubli, a Władysław żonę — przerwała Helenka.

— I to jest kapitał — odparł Grodzki. — Otóż nasza fabryka miała, mówię pani, miała stanowczo wyrugować plótna zagraniczne i wywołać przewrót w tego rodzaju zakładach krajowych. Władysław zaprojektował nowy system wentylacyjny dla zdrowia robotników, dalej tantjemy i emeryturę znowu dla nich. Dalej czytelną dla dorosłych, bardzo znakomitą szkołę dla dzieci i pewien rodzaj seminarjum dla praktykantów.

— Marzenia!... — wtrącił ze smutkiem Władysław.

— Pozwól sobie powiedzieć — odparł Grodzki — że wolę te marzenia naszej młodzieży od knajpiarstwa i burszyny studentów niemieckich. Powiem ci nawet więcej, że twoje marzycielskie projekta uczyły nas na obczyźnie myśleć o kraju i jego potrzebach, i że one to właśnie zjednały ci serca wszystkich. Nie opuszczaj zatem rąk. Nie uda nam się fabryka plótna, to założymy kuźnię wzorową; nie uda się szkoła techniczna, to spróbujemy otworzyć porządne warsztaty. Ja wcale za wygrane nie daję. Dziś jestem na drodze do majątku i honorem ci ręczę, że skoro zbiorę kilkanaście tysięcy rubli, przypomnę ci twoje projekta.

Gadatliwemu inżynierowi świeciły się oczy, gdy to mówił. Cała jego fizjognomja wyrażała energją, zapał, a nadewszystko ufność we własne siły, której znękanym nieco Władysław nie posiadał już w takim stopniu.

— Ile to potrzeba pieniędzy na fabrykę! — odezwała się Helenka, kręcąc głową.

— Zapewne, że wiele! Z tem wszystkiem jednak mąż pani, gdyby umiał kuć żelazo na gorąco, mógł był już dawno utworzyć podobną fabrykę.

— Ja?... jakim sposobem?... — zapytał zdziwiony Władysław.

— Cha! cha! nie pamiętasz, serce?... — wykrzyknął Grodzki. — Trzeba było myśleć o fabryce pół roku temu, wówczas, gdy się w tobie kochała pani bankierowa Welt...

— We mnie?... bankierowa Welt?... — powtórzył jeszcze bardziej zdumiony Wilski.

— O, prostaku! o, baranku niewinny! — wołał Grodzki. — Cały świat wiedział, że szaleje za nim ta poczciwa kobiecina, a on nie wie o tem do dziś dnia. Cha! cha! cha!

Helenka, słuchając, zapomniała o samowarze, skutkiem czego gorąca woda przelała się już przez wierzch szklanki. Drobnym ten wypadek skierował rozmowę na inny temat i pozwolił Władysławowi ukryć niespodziane, lecz wielkie zakłopotanie, jakiego w tej chwili doświadczył.

Około jedynastej wieczór Grodzki, który musiał nazajutrz rano wyjechać, pożegnał swoich przyjaciół i na zakończenie rzekł:

— Pani Heleno! znieńwidzę was, jeżeli w kłopotach nie odwołacie się do mnie. Jestem człowiekiem z jednej sztuki, nie lubię ceremonij między swoimi, a kogo kocham, to już całym sercem.

Rozrzewniona Helenka serdecznie ścisnęła go za rękę.

— No, a ty Władysławie — dodał — bierz się na ostro i rób pieniądze. Na honor! jesteś jedynym facetem, w którego rękach radbym widzieć miljony, bo wiem, żebyś je puścił, ale z pożytkiem i dla ogółu, i dla bliskich tobie!...

Gdy Grodzki wyszedł, Helena zajęła się sprzątaniami, Władysław zaś począł chodzić po pokoju i myśleć. W duszy jego ścierały się dwie idee: jedną z nich były obstalowane przez Józefa modele, drugą... Drugą Władysław chciał gwałtem za obręb świadomości wyrzucić.

— Kotły obstaluję u mosiężnika... — myślał.

— Bankierowa Welt kochała się w tobie — szeptał jakiś głos.

— Ciekawym, ile mnie będą kosztować? — mówił znowu Władysław.

— Kochała cię, czy słyszysz?... — powtórzył ten sam głos.

Władysław poszedł do swego pokoju i począł przeglądać notatki, zostawione przez Grodzkiego. Nagle odwrócił głowę: zdawało mu się, że za jego krzesłem stoi jakieś widziadło, które mu nieustannie szepcze do ucha:

— Kochała cię!...

Wiłski rzucił się na szeszlony, oparł głowę na rękach i utkwiał wzrok w suficie. W tej chwili moce nadziemskie opanowały jego duszę, i oto co widział:

Pewnego dnia, młody, dziwnej piękności człowiek, ubrany we frak, jak przystało na suplikanta, wszedł do gabinetu bankiera Welt.

Znakomity finansista siedział przed biurkiem, na którym leżało mnóstwo otwartych książek, tudzież stosy zapisanego papieru — i — czytał. Uwaga jego była tak mocno zajęta, że dopiero po upływie dwu minut zdołał spostrzec młodzieńca, który w prostocie ducha wywnioskował stąd, że bankier musi być wielkim człowiekiem.

Gdy Welt zbudził się ze swych głębokich rozmyślań, rzekł, uchylając haftowanej czapeczki:

— Ach! to pan Wiłski?... stokrotnie przepraszam! Pozwól pan, że zatrzymam czapeczkę na głowie. Człowiek tak wiele pracuje umysłowo, że aż doświadcza strzykań. Co pan rozkaże?...

Wiłski, zamiast odpowiedzi, podał mu list. Bankier spojrział na pieczętkę i zdjął czapeczkę.

— Wiem, to pisze mój przyjaciel, książę... Często ze sobą korespondujemy. Dobry chłopak! tylko strasznie demokratyczny...

Potem otworzył list i w miarę odczytywania, mówił: — „Najuprzejmiej polecam łaskawym względom...” Dobrze! „Najzdolniejszy uczeń na wydziale mechanicznym...” Bardzo pięknie! „Wielki medal złoty...”

— Panie Wolski...

— Nazywam się Wiłski.

— Panie Wiłski, to musi być duży ten wielki złoty medal, który pan dostał?...

— Dostyc.

— Tak, ja to wiem!... Niech pan bez ceremonji siada, bardzo proszę.

Zaproszenie było zbyteczne, ponieważ Wiłski sam już bez ceremonji usiadł.

Skończywszy czytać, Welt mówił dalej:

— Po tym liście dom mój jest dla pana otwarty. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Pan będziesz łaskaw pofatygować się do nas co czwartek na herbatę, począwszy od dziś dnia, o wpół do dziesiątej wieczór.

— Czy mogę spodziewać się?... — wtrącił Wiłski.

— Może się pan spodziewać najdystyngowańszego towarzystwa w salonach mojej żony.

— Miałem w tej chwili na myśli posadę techniczną.

— Ach! pan miał na myśli posadę?... O tem jeszcze pogadamy.

Wiłski pożegnał go i zabierał się do wyjścia. Nagle bankier zawołał:

— Ale, ale!... panie Wiłski... Jak pan będzie pisał list do księcia, to proszę mu się pięknie kłaniać ode mnie.

Tego samego dnia na herbacie poznał Władysław panią Welt. Była to kobieta w sile wieku, nie tyle piękna, ile majestatyczna, a zarazem pociągająca. Śniada jej twarz miała wyraz powagi i słodczy, a czarne oczy dziwnie rozmarzały ludzi.

W ciągu wieczora pani domu kilka razy przez czas dłuższy rozmawiała z Wiłskim, który, mając głowę nabitą rozmaitemi planami, mówił tylko o nich. Bankierowa słuchała go uważnie i patrzyła na niego tak jakoś szczególnie, że Władysław, powróciwszy do domu, spać nie mógł.

Na drugi dzień Welt dał Wilskiemu korzystne zajęcie i uroczyście wezwał go do jak najczęstszych wizyt.

— Ona cię kochała!... — szeptał mu uporczywie głos, pod wpływem którego pewne fakty ukazywały się Władysławowi w nowym zupełnie świetle.

Na jednym z czwartkowych zebrań, gdy Wilski rozmawiał z bankierową o swem studenckiem życiu, zbliżył się do nich pewien nowiniarz i opowiedział, że jakaś dama uciekła z kochankiem.

— Kobiety dla miłości wiele robią! — zakończył dowcipniś z uśmiechem.

Pani Welt surowo spojrzała na niego, a gdy odszedł, rzekła do Władysława swym spokojnym i przejmującym głosem:

— Tak, kobiety dla miłości wiele robią, lecz mężczyźni nie umieją tego ocenić!

To powiedziawszy, wstała i nie patrząc na Wilskiego, przeszła do innej grupy.

Innym razem, gdy rozwijał przed nią plan towarzystwa budowlanego, przerwała mu nagle, mówiąc:

— Czy pan z kobietami zawsze rozmawiasz tylko o inżynierji?

— To zależy — odparł — z niektórymi mówię o sztukach pięknych, co zresztą jest bardzo nudne.

— Ach, tak! — odpowiedziała. — Mów pan zresztą cokolwiek.

Przymknęła oczy, oparła głowę na fotelu i z wyrazem spokojnego zachwyty na twarzy słuchała o potrzebie asfaltowania fundamentów, o kranach wodociągowych i gazie w mieszkaniach, a nadewszystko o żelaznem belkowaniu.

Wilski był w dziwnej pozycji. Miał narzeczone, którą kochał, i znał kobietę, do której ciągnęły go instynkta. Gdy rozmawiał z panią Welt, czuł, że mu w żyłach płynie coś nakształt roztopionego ołowiu; lecz wrażenie to nigdy nie trwało przez czas dłuższy.

Niekiedy, ośmielony jej spojrzeniami, postanawiał wspomnieć coś o miłości. Przy najlżejszej jednak wzmiance tego rodzaju, wzrok bankierowej stawał się chłodny, a na ustach zarysowywał się wyraz pogardliwy i niechętny. Przechodził wówczas do kwestyj obojętnych, i znowu wszystko było dobrze.

Z początku Wilski głowę tracił wobec tej zagadki, zczasem jednak oswoił się z nią i myślał:

„Jaka szkoda, że ta kobieta jest tak chłodna i myśli tylko o kwestjach finansowych i technicznych.

Gdyby nie to, ludzie warjowaliby z jej przyczyny, a najpierwej sam mąż!...”

I o niej to powiedział Grodzki, że szalała za Władysławem!

— To być nie może! — mruknął Wilski, otrząsając się z marzeń i powstając z szeszlona. — Pani Welt jest kobietą z marmuru i... banknotów...

— A jednak kochała cię — szeptał głos.

— Głupstwo! — odparł z uśmiechem Władysław. — Kochała mnie, a przecież jej mąż nie daje mi teraz żadnego zajęcia.

— Od jak dawna? — spytał głos.

— Od... dnia ślubu mego — odpowiedział Władysław.

— A zarazem od dnia, w którym pani Welt, dowiedziawszy się o twym ślubie, ciężko zachorowała... — dorzucił głos.

Zimny pot wystąpił na czoło Wilskiemu. Podeszedł do okna i przysłuchiwał się padającemu deszczowi.

Wtedy ktoś zbliżył się do niego na palcach, otoczył mu rękoma szyję, przycisnął wilgotne usta do jego ust spieczonych i rzekł nieśmiało i cicho:

— Ale ty jej nie kochasz?... Wilski oprzytomniał.

— Ciebie tylko kocham, Heluniu, ciebie i... pracę!...

- Ale mnie troszeczkę więcej... taką małą troszeczkę?...
- Taką dużą!... — odpowiedział mąż ze śmiechem. Mary pierzchły.

IV. UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Był już początek kwietnia; śniegi znikły, a po ulicach przewiewał wiatr wiosenny. Wróciwszy pewnego dnia z miasta, Władysław przyniósł żonie kilka listków trawy, zawiadomił ją o tem, że widziano skowronki w polu i że dziś siada do obstalunków Grodzkiego.

Do tej pory nie zajmował się niemi, miał bowiem od jednego z inżynierów miejscowych pilną robotę, nad którą kilkanaście dni i kilka nocy przepędził.

Jakoż rozpiął papier na rajzbracie i zatemperował ołówki.

— Wiesz, Władziu — odezwała się Helenka — że niedługo wyjmemy okna podwójne? Ale prawda! przeszkadzam ci... Już nic nie będę mówiła. Może ci tusz rozetrzeć?

W tej chwili wszedł do przedpokoju jakiś człowiek.

— A co to? — zapytała Helenka.

— Telegram z Krakowa do pana Władysława Wilskiego. Proszę o pokwitowanie.

— Z Krakowa?... — rzekł nieco zdziwiony Władysław, odbierając kopertę. — Daj mu tam dziesięć groszy, Heluniu.

Gdy otworzył depeszę, zdziwił się jeszcze bardziej, przeczytawszy co następuje:

Wierny sługa ś. p. Edwarda winszuje. Pogrzeb wczoraj. Czekam na rozkazy. — Kłopotowicz.

— Co to jest? — zapytała Helenka.

— Nie rozumiem! — odparł Wilski. — Przypuszczam tylko, że mój stryj umarł i że jego plenipotent zawarł.

— Twój stryj umarł, ten bogacz?... Może ci co zapisał?... Władysław machnął ręką z uśmiechem.

— To się po nim nie pokaże! W ciągu całego życia dał mi trzydzieści rubli, i wątpię, aby był po śmierci hojniejszy.

— W każdym razie coś w tem jest — rzekła Helenka.

— Co ma być! — odpowiedział Władysław i usiadł do roboty.

W kwadrans później Helenka odezwała się znowu:

— Żeby ci tak choć z dziesięć tysięcy zapisał?...

— Nie bój się, nie zapisze.

— No, pocałuj żonę.

Władysław polecenie najsumiennej wykonał, lecz roboty nie porzucił.

W godzinę przyszedł drugi telegram tej treści:

Hrabia P. daje za willę nad Renem pięćdziesiąt tysięcy reńskich. Nieboszczyk zapłacił trzydzieści tysięcy. Czekam tydzień.

Adwokat X.

— Poszaleli widocznie! — mruknął Władysław, rzucając depeszę na ziemię.

— Ależ, kochany Władziu, w tem coś jest — mówiła wzruszona Helenka. — Widocznie stryj musiał ci tę willę zapisać...

— Dzieciństwo! całe życie usuwał się ode mnie...

— W każdym jednak razie trzeba coś robić.

— Ja też robię rysunki dla Grodzkiego. W tej chwili przyszedł trzeci telegram:

Kraków dnia... Władysław Wilski, inżynier-mechanik w Warszawie. — Zmarły Edward Wilski zapisał panu sto tysięcy reńskich gotówką, pięćkroć w nieruchomościach. Testament u mnie. Pogrzeb wczoraj. Czekam na polecenia.

Adwokat Y.

— Czy to być może, Władziu?... — krzyknęła Helenka, klaszcząc w ręce.

W pokoju stał woźny z telegrafu.

— Winszuję jaśnie wielmożnemu panu dobrej nowiny! — rzekł.

Władysław dał mu złotówkę. Woźny wyszedł, skrobiąc się w głowę i mrużąc.

— Władziu! — zawołała znowu Helenka — ty musisz iść...

— Dokąd?

— Czy ja wiem dokąd?... chyba do telegrafu.

— Poco?

— Czy ja wiem poco?... O, Boże! jakież to szczęście!... Wyszła do swego pokoiku i klękała przed obrazem. W tej chwili jednak zerwała się, wybiegła do kuchni i uściskała zdziwioną i uradowaną Mateuszową. Potem znowu uklękała i zmówiła pacierz.

Wróciwszy do pracowni, zastała męża rysującego.

— Ależ daj pokój, Władziu! — zawołała. — Czy może być, aby to ciebie nie obeszło?... Doprawdy, że ja się ciebie boję!... Ile to na nasze pieniądze wyniesie?

— Prawie pół miliona rubli — odpowiedział spokojnie Wilski.

— I ty się nie cieszysz nic?... Nic, ale to zupełnie nic?... Władysław położył ołówek, wziął żonę za rękę i topiąc w niej wzrok poważny, rzekł:

— Powiedz mi, Heluniu, czy od tych kilkunastu minut przybyło mi sił, zdrowia, rozumu, uczciwości?... Prawda, że nie!... A przecież to są największe skarby.

— Zawsze jednak pół miliona...

— Jesteśmy tylko kasjerami, w rzeczywistości bowiem pieniądze te nie do nas należą. Powiedz sama, czy potrafimy je przejeść, przepić lub wydać na zabawy, a zresztą czyby to było uczciwie?...

Helenka uwiesiła mu się na szyi i okryła pocałunkami.

— O, mój mężu! — zawołała. — Nie rozumiem cię, ale widzę, żeś zupełnie inny, niż wszyscy ludzie.

Niedługo potem, jakby nic nigdy nie zaszło, zmieniła kanarkowi wodę, dosypała siemienia i wzięła się do szycia koszul mężowskich.

— To płótno — myślała — jest tak grube, jak było pierwej. Dobrze mówi Władzio, że majątek nic nie zmienia!

Była już zupełnie spokojną.

Wilski tymczasem wciąż rysował. Gdy zapadł zmrok, począł chodzić w milczeniu po swej pracowni, potem zapalił światło i zbliżył się znowu do rajzbretu.

Teraz dostrzegł, że zrobił w planie ważną omyłkę. Rozdarł go więc i na skrawku papieru zaczął pisać jakieś proporcje i cyfry pojedyncze, z których ostatnią była: dwadzieścia pięć tysięcy.

— Dwadzieścia pięć tysięcy! — szepnął — to znaczy przeszło sześćdziesiąt rubli dziennie bez pracy i kłopotów!...

W czymby to umieścić? — mówił dalej. — Papiery ciągle zmieniają wartość, a przytem pożar... złodzieje!... Banki?... Któryż bank daje bezwzględną pewność!... Domy... A wojna i bombardowanie?...

„Prawdziwe szczęście — przypomniał mu Epiktet — trwa wiecznie i nie może być zniszczone. Wszystko, co nie posiada tych dwu własności, nie jest prawdziwym szczęściem.”

Wilski słyszał echo tych wyrazów w swej duszy, lecz nie rozumiał ich. Czuł, że w tej chwili pewne zdania są dla niego tylko pustym dźwiękiem, i że ich treść pierzchła wraz z ubóstwem. Natomiast z głębin umysłu jego wynurzyły się inne zdania, dziwnym jakimś, nieznanym mu dotychczas opromienione blaskiem:

„Najwyższa zręczność — mówił La Rochefoucault — polega na tem, aby (dokładnie znać prawdziwą wartość rzeczy.”

— To pewna — szepnął Wilski — że nie znam dotychczas wartości dwudziestu pięciu tysięcy rocznego dochodu.

Było już późno. Znużona Helenka ostrożnie uchylila drzwi:

— Ty jeszcze pracujesz, Władziu?

— Tak! — odpowiedział, nie podnosząc głowy.

— Dobranoc ci!... Takie masz gorące czoło!...

— Jak zwykle.

— Mógłbyś dziś wcześniej się położyć, masz już przecie majątek... Dobranoc!

Omyliła się. Miljony odbierają sen.

Teraz przyszedł Władysławowi na myśl Grodzki. Wspomnienie inżyniera spotęgowało rumieńce na jego twarzy.

— Dobry chłopak — rzekł — ale strasznie szorstki. Zkolei myślał o fabryce płótna, o swojej starej ciotce,

biednym rękawiczniku, który mu jakiś czas darmo obiady dawał, o ludziach niemających roboty, o projektach obrachowanych na ogólny pożytek, i niewymowna gorycz napelniła mu serce. Przypomniał też sobie pewnego staruszka w piaskowym surducie, znakomitego filozofa i pesymistę, z którym się poznał w Paryżu. I przed nim Władysław często rozwijał swoje ogromne plany. Starzec słuchał go zawsze z pobłażliwym uśmiechem i w konkluzji rzekł:

— Wielkie idee, oprócz wielu złych, mają jedną dobrą stronę. Oto: stanowią pewien rodzaj umysłowej wizykatorji dla ludzi młodych i zdolnych, lecz ubogich!...

— Tak! — szepnął Władysław. — Majątek mój jest za duży na to, aby go oknem wyrzucić, a za mały na uszczęśliwienie świata. Gdybym go rozdzielił tylko między swoich współobywateli, na każdego z nich wypadłoby niecałe trzynaście groszy!...

Ostatnia ta uwaga zapieczętowała szereg medytacyj. Wilski wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju, jak człowiek, który już wie, co mu robić wypada.

„Cnoty toną w interesie, jak rzeki w morzu” — powiedział La Rochefoucault. Miał rację.

Władysławowi głowa pałała, pulsa biły jak młoty. Otworzył lufcik i odetchnął głęboko. Na dworze była noc i cisza, w jego pokoju dogorywała lampa.

Gdy odwrócił głowę, zdawało mu się, że wśród pomroki niknie przeciwległa ściana pracowni, odsłaniając przed jego oczyma wykwinnty buduar, pełen bogatych sprzętów i upajającej woni. Na fotelu, pokrytym ciemno-zielonym aksamitem, siedziała, a raczej leżała kobieta z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczyma i wyrazem zachwyty na śniadej twarzy.

— Mów cokolwiek! — szeptało widmo. — Niech usłyszę głos twój...

— Ach! ach! — rozległ się jęk w pokoju Helenki. Wilski wybiegł tam.

— Co ci jest, Heluniu?... — zawołał.

— To ty, Władziu?... Nic... śniło mi się coś, zresztą nie wiem...

— Może nasze miljony? — spytał z uśmiechem. Nie odpowiedziała nic i zasnęła znowu.

V. PIERWSZE KROKI

Szatan i obłąd panują zawsze w nocy; dzień jest ojcem zdrowego sądu. Wilski z rana wstydził się wczorajszych przywidzeń i myślał spokojnie o obowiązkach, których nikt wprawdzie nie mógł mu narzucić, lecz które tkwiły w jego duszy.

Głos rozsądku i sumienia przypominał mu ludzi, od których doświadczył dobrodziejstw, i projekta, które obecnie mógł wykonać. Wstał trzeźwy, ubrał się szybko i wyszedł do biura telegraficznego, aby donieść o swej fortunie Grodzkiemu i wezwać go na wspólnika.

Do czego na wspólnika? — jeszcze nie wiedział.

W połowie drogi na ulicy usłyszał, że go ktoś woła. Obejrzał się i zobaczył karete, z której wysiadał Welt.

— Szedłeś pan do mnie! — rzekł bankier tonem niezachwianej pewności. — Winszuję! Podobne wypadki trafiają się nader rzadko.

— O czym pan mówisz?

— Rozumie się, że o pańskich milionach. Ja wiem wszystko! Traf cudowny! Kasa moja jest na pańskie usługi, i dziś nawet mogę panu ofiarować sto tysięcy na osiem procent. Nigdzie pan taniej nie dostaniesz.

Oszołomiony Władysław milczał.

— Naturalnie, zgadzasz się pan — mówił dalej Welt. — Siądźmy do mojej karety... Musisz się pan wyekwipować przyzwoicie. Zaraz panu odliczę pieniądze, a w wolnym czasie pogadamy o pańskim projekcie towarzystwa budowlanego, które mnie zachwyca! Stangret zawróć! Jechałem właśnie do pana. Trzeba służyć społeczeństwu w miarę środków, panie Wilski, to moja zasada. Musimy mieć towarzystwo budowlane!

Gdy stanęli na miejscu, bankier rzekł:

— Każę przygotować rewers, a tymczasem racz pan wstąpić do mojej Amelci.

Wilski machinalnie poszedł na górę i za chwilę już był w salonie.

Czekał minutę... dwie... W połowie trzeciej ukazała się bankierowa.

Była bardzo blada i podając Władysławowi rękę, zmienionym głosem rzekła:

— Dawnośmy się nie widzieli!... Na twarz jej wybiegł rumieniec.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które znowu przerwała pani Welt.

— Dziś dowiedziałam się o pańskim... nie wiem, jak nazwać... Ludzie nazywają to szczęściem. Jeżeli istotnie szczęście, w takim razie szczerze... serdecznie panu winszuję!

Wilski pocałował ją w rękę. Była gorąca jak ogień, lecz sztywna.

Potem mówili o rzeczach obojętnych, początkowo z pewnego rodzaju przymusem, następnie śmielej. Nagle usłyszeli na schodach głos Welta.

Pani Amelja zmieniła przedmiot rozmowy i zapytała prędko.

— Wszak wyjeżdżasz pan do Krakowa?

— Zapewne...

— Kiedyż?

— Jeszcze dokładnie nie wiem.

— Ja chciałabym także wyjechać.

— Kiedy? — spytał znowu Wilski, czując, że mu serce bić przestaje.

Pani Amelja zawahała się.

— To jeszcze nie jest pewne — rzekła. Bankier wstępował na schody.

— W piątek wieczór... — dodała szybko stłumionym głosem.

Welt wszedł do salonu; porozmawiali chwilę razem, poczem zabrał Wilskiego do swej kancelarji. Tam przez dobrą godzinę liczyli pieniądze, a wreszcie pożegnali się bardzo serdecznie.

— Ja, panie — rzekł bankier wkońcu — jestem człowiekiem, którego do rany przyłożyć można. Ja dla projektów pańskich miałem zawsze wielką sympatią, i gdyby nie... No, pan wiesz, jak kobiety bywają ostrożne!... Sądzę także, że nie pogniewasz się pan na Amelcię, jeżeli powiem, że ona nam najwięcej przeszkadzała w porozumieniu się. Ale wczoraj zwyciężyłem ją stanowczo! Pan jesteś człowiek pomysłowy i szczęśliwy, a to w interesach dużo znaczy...

Gdy Władysław był już we drzwiach, Welt zawołał:

— Ale!... ale!... Wiesz pan co?... Mówmy sobie t y! Między przyjaciółmi i wspólnikami nie powinno być ceremonij. To moja zasada, Władziu!

Wróciwszy do domu, Wilski zastał już kilka biletów wizytowych od przyjaciół, którzy go wczoraj jeszcze nie znali, i kilka próśb od osób ubogich, które cudem chyba dowiedziały się o jego fortunie.

— Oto jest natura ludzka! — rzekł ze śmiechem.

— W każdym jednak razie wesprzesz, Władziu, tych biedaków. Któż wie, czy i oni już oddawna ostatniego rubla nie wydali? — odpowiedziała Helenka.

Władysław obiecał ich wesprzeć; śmiejąc się, opowiedział żonie o serdeczności Welta, pokazał jej pieniądze i zawiadomił, że w piątek wieczór musi wyjechać do Krakowa.

— To pojutrze! — szepnęła Helenka, blednąc. — Tak mi będzie smutno...

Uścisnął ją i już nic więcej nie mówili o podróży. Następnego dnia powiedział jej o wynajęciu nowego mieszkania.

— Wziąłem na Krakowskim pięć pokoi, przedpokój i kuchnię za osiemset rubli...

— Tak nam tu było dobrze! — odpowiedziała Helenka.— O!... już na nowem mieszkaniu nie spotka nas szczęście.

— Prócz tego — mówił mąż — będziemy mieli eleganckie meble, lokaja, pokojówkę i dobrą kucharkę.

— A cóż się stanie z Mateuszową?

— Ach! prawda... Zresztą, pomyślimy o niej jeszcze. Nadszedł dzień wyjazdu, wietrzny, pochmurny i słotny.

Wilski był zadumany. Helenka wzdychała. Oboje nie tknęli obiadu i z niepokojem oczekiwali wieczora. Około ósmej Helenka rzekła:

— Odprowadzę cię na kolej, dobrze?...

— Daj pokój, aniołku, możesz się zaziębić. O dziewiątej na podwórze zajechał powóz.

Władysław powoli włożył paletot i torbę podróżną. W pokoju śmiertelne panowało milczenie...

— Za parę tygodni wrócę... — rzekł stłumionym głosem.

— Wrócisz?... — szepnęła Helenka, opierając głowę na jego piersiach.

W tej chwili jakiś szorstki przedmiot dotknął ręki Wilskiego. To stara Mateuszowa całowała go.

Wybiegł spiesznie za drzwi, lecz w połowie schodów zatrzymał się. Zdawało mu się, że go ktoś obejmuje za nogi.

Chwilę pomyślał i wrócił na górę głęboko wzruszony. Stojąca w przedpokoju Helenka upadła mu na szyję i rzewnie płakała.

— O, nie zapomnij o mnie! — mówiła, łkając. Powtórnie wszedł, a tym razem wybiegła za nim Helenka.

— Władziu!

— Co każesz?

Znowu uwiesiła mu się na szyi, ścisnęła go namiętnie i szeptała:

— Nie zapomnisz?... wrócisz?...

Siedząc w powozie, podniósł jeszcze oczy do góry i w oknie drugiego piętra zobaczył uchyloną roletę i jakiś cień. Powóz wyjechał z podwórza.

— O, nie zapomnij o mnie...

Mgła zawisła nad ulicami, latarnie rzucały czerwony blask, dokoła rozlegały się kroki przechodniów i turkot wozów.

— Nie zapomnisz?... wrócisz?... — szeptało echo.

Wilski dojechał do dworca wzruszony i rozdrażniony. Oddał pakunki tragarzowi i pobiegł wprost do salonu pierwszej klasy.

Zastał tam kilkanaście osób, same twarze obce. To uspokoiło go. Odetchnął jak człowiek, którego minęło niebezpieczeństwo, i jeszcze raz pożegnał w myśli Helenkę. W tej chwili usłyszał głos wchodzącego Welta.

— Cudownie! więc i ty wyjeżdżasz?

— Jak widzisz.

— Wyobraź sobie, że i Amelcia jedzie. Wysyłam ją do Krakowa w pewnym interesie, który wymaga... no, wiesz czego?... Tego tylko, co ona ma.

Pani Welt była milcząca i nie w humorze. Wilski wyszedł po bilet. Gdy wrócił, rzekł bankier ze śmiechem:

— Patrz, co to są kobiety! Onegdaj zdecydowała się jechać, dziś grymasiła, a w tej chwili powiada, że się boi zaziębnienia, i że chętnie została by do jutra.

— Może to i słusznie — odparł Wilski chłodno. — Szkoda, żeś mnie nie zapoznał z interesem, byłbym ci go załatwił.

— Gdzież znowu! Ty masz głowę zaprzętą miljonami, a tu sprawa pilna i wymaga zimnej krwi. Nie, to tylko ona dobrze załatwi!

Zadzwoniono, i podróżni poczęli zajmować miejsca. Nagle Władysławowi uderzyła fala krwi do głowy: ujrzał on między fałdami powłóczystej sukni — kształną i drobną nóżkę bankierowej...

Na ten widok zapomniał o żonie, o wzruszeniu i o niesmaku, jakiego doznał przed chwilą.

— Siadajże, Władysławie! — krzyknął bankier. Rozległy się okrzyki pożegnania, pociąg ruszył, lecz Władysław nie uważał tego. Nie mógł tchu złapać.

— Oryginalna pozycja! — odezwała się nagle pani Welt.— W tej chwili widziałam Świegotnickiego i jestem pewna, że jutro w całej Warszawie mówić będą, że uciekła z panem, w asystencji i za upoważnieniem męża.

— I cóż nam to szkodzi? — spytał Wilski, topiąc w niej pałające spojrzenie.

— Panu niewiele, mnie więcej! — odparła poważnie.

— W każdym razie fakt już się stał, i cokolwiek...

Nie dokończył, ujrzawszy wzrok Amelji. Zarazem jednak teraz dopiero zauważył, że byli sami.

Nastało długie milczenie, w ciągu którego bankierowa obojętnie wyglądała przez okno, a Wilski... resztę przytomności utracił.

Nagle, tuż przy nogach pani Welt, upadła mu rękawiczka. Gdy się schylił, aby ją podnieść, uczul, że rękaw jego paletota obtarł się zlekka o jej bućki.

Teraz zdało mu się, że w ciele, zamiast mięśni, ma rozgrzane stalowe sprężyny, że mu piersi pękają, lub że go własny oddech spali. Podniósł oczy na Anielję i pomyślał, że gdyby między nią i nim ustawiono mur bagnetów, rozbiłby go jak kępę trzciny.

— Spodziewam się, że mnie pan zapoznasz ze swoją żoną?... Będę panu bardzo wdzięczna!... — rzekła bankierowa głosem, który jak ostrze noża przeszył mu serce.

W milczeniu i gorączce czekał do rana. Gdy pociąg stanął na granicy, Wilski posłał telegram do żony.

VI. PIEKIELNA DRABINA

W Krakowie Władysław rozszedł się z bankierowa prawie na chłodno, a następnie zajęty interesami kilka dni jej nie widział. W ciągu tego czasu zapoznał się bliżej ze stanem swego majątku, odebrał od Helenki parę listów, pełnych tęsknoty i wezwań do przyjazdu, i przypomniał też sobie dawnych znajomych, ludzi po większej części ubogich, dla których postanowił coś zrobić.

W końcu pierwszego tygodnia odebrał list z Warszawy i bilet z Krakowa. Poznał pismo na obu i wziął się do pierwszego.

List z Warszawy pisał ubogi student, który u Wilskich bywał na obiadach co czwartek. Młody człowiek w prostych, lecz serdecznych wyrazach powinszował Władysławowi spadku i wyraził żal z tego powodu, że nie mógł go przed wyjazdem osobiście pożegnać.

— Biedaczysko! — rzekł Władysław. — Spróbuję też posłać mu pieniądze. Wiem, że się nie obrazi, gdy z nim szczerze, choć listownie pogadam.

Następnie otworzył bilet, który zawierał te słowa:

Nigdy nie spodziewałam się, abyś pan mógł skazać swoją współrodaczkę na śmierć z nudów. Czekam dziś z herbatą. A bientôt. — A. Welt.

Wilski ruszył ramionami. Ponieważ zaś było dosyć wcześnie, wyszedł więc do miasta.

Błądząc machinalnie po ulicach, dostrzegł na jednej z nich sklep szewcki z wystawą, a na niej, między obfitą kolekcją różnokolorowego obuwia — mały, czarny, węgierski bucik.

Postał tu chwilę i znowu począł błądzić. Na twarz wystąpiły mu ciemne rumieńce, a umysł opanowały pomieszane marzenia.

I widział się w Warszawie w ciasnej izdebce na poddaszu. Pokój był zimny, a on zrozpaczony i głodny.

Nagle uchyliły się drzwi i stanął w nich jakiś człowiek niski, pękaty i uśmiechnięty, z czapką w rękę. Był to sąsiad jego z poddasza, ubogi rękawicznik.

— Co pan każe? — spytał go Władysław.

— Ja nie każę, ja przyszedłem prosić — odparł gość. Panie! — mówił dalej — co tu między nami w bawełnę owijać. Niech mi pan zrobi jedną łaskę...

— Jaką, panie?

— Niech pan pozwoli u siebie w piecu zapalić i obiad sobie przysłać!

— Ależ...

— Już wiem, co pan powie — przerwał rękawicznik — ale to się na nic nie zda. Pan jesteś młody, uczony, możesz jeszcze mieć stanowisko na świecie, i jeżeli nie mnie, to dzieciom moim oddasz te obiady z procentem... No, panie!... bo nie odejdę stąd.

I z temi słowy zacny człowiek wyciągnął do Wilskiego rękę. Biedacy uściskali się, i nastąpiła zgoda.

W tej chwili między tym obrazem z przeszłości a bogaczem terażniejszości stanęło widmo czarnego węgierskiego bucika. Władysław ocknął się i poszedł do bankierowej.

Zastał ją w salonie z bukietem róż. Uśmiechnęła się i podając mu rękę, rzekła tonem łagodnej wymówki:

— Nie powinnam się witać z panem!

— Tłomaczą mnie zajęcia — odparł Wilski.

— Ale wytłomaczą pana wtedy dopiero, jeżeli dzisiejszy wieczór mnie poświęcisz. Bywam niekiedy dziwnie zmęczona, a gdybym wówczas nie zobaczyła twarzy sympatycznej i nie usłyszała

głosu...

...Czy ja wiem, cobym zrobiła?!...

Wilski słuchał jej zdumiony i rozmarzony...

Cały wieczór mówili o kwiatkach, o wiosnie i okolicach górskich, jak student z pensjonarką, półgłosem, jak w pokoju chorego.

Około jedynastej Władysław, zabierając się już do odejścia, rzekł:

— Czy dasz mi pani jeden z tych kwiatów?

— Naco?...

— Na pamiątkę dnia dzisiejszego.

— To prawda — odparła — że w życiu mało jest dni podobnych.

A potem, urywając różę, dodała:

— Weź ją pan jako symbol naszej przyjaźni. Oczy jej były wilgotne.

Władysław wrócił do domu jak pijany, nie wiedząc co myśleć i w co wierzyć. Gdy upadł na łóżko, drżał, jak w febrze, i usnął w gorączce, mruczając przez zaciśnięte zęby:

— Bądź co bądź, ona mnie kocha!... Byłbym bydlęciem, gdybym odpychał to szczęście, lub rujnował je niecierpliwością...

Na drugi dzień został przez panią Welt zaproszony na obiad. Przed wyjściem przypomniał sobie ubożego studenta i posłał mu pieniądze wraz z krótkim listem, który podług niego był bardzo przyjacielski, w istocie zaś wskazywał oziębłość i roztargnienie.

Od tej pory los jego był już zdecydowany. Do żony pisywał listy coraz rzadziej, donosząc jej o powikłaniu interesów, u bankierowej zaś bywał coraz częściej i dłużej. Wierny jednak zasadzie cierpliwości, zadawał się rozmową, uściskiem ręki i spojrzeniami, które codzień stawały się bardziej rozmarzone i namiętne.

Niekiedy zdawało mu się, że nowicjat jego trwa zbyt długo. Wówczas próbował być śmielszym, lecz pani Welt jednocześnie stawała się ozięblejszą. Władysław szalał. Bywały chwile, że chciał wracać do Warszawy, lecz postanowienia jego prędko słabły i mówił:

— Jeszcze jeden dzień... ostatni!...

Była już połowa maja. Bankier naglił żonę do powrotu, i pani Amelja coraz częściej poczęła o tem wspominać.

— Jeszcze jeden dzień tylko!... — prosił Wilski.

— Masz pan racją — odpowiedziała i znowu zostawali.

Interesa były już ukończone, dobra po nieboszczyku sprzedane, gotówka w rękach Władysława, ale on o to nie dbał, dla niego cały świat skupiał się w gabinecie bankierowej, a całe życie streszczało się w tej jednej myśli:

„Jeszcze jeden dzień!...”

Miljonowy spadek był złotą nicią, po której do duszy jego wkradła się straszna choroba. Wiedział o niej, rozumiał, że się z niej uleczyć potrzeba, i czuł, że się uleczy, ale kiedy?...

Przekłete szczęście!

Pewnego dnia odebrał dwa listy z Warszawy.

Jeden był z pieniędzmi i pochodził od ubożego studenta.

Młodzieniec zwracał przysłane banknoty i w słowach pełnych szacunku, ale też i wielkiego żalu, dał mu poznać, że nie prosił o jałmużnę i że jej nie przyjmuje.

— Źle się stało — szepnął zmartwiony Władysław — lecz spróbujemy to odrobić.

Przekłete szczęście!

Drugi list był od żony.

Helenka donosiła, że złożyli jej wizytę bogaci krewni, których znała w dzieciństwie. Państwo ci gwałtem zapraszali ją na wieś, dodając, że ponieważ sami wyjeżdżają zagranicę, ofiarują jej więc cały dom. Tak byli pewni, że ofiary ich nie odrzuci, iż zostawili w Warszawie swój powóz i służącego.

W dopisku ostrożnie nadmieniała, że i lekarze kazali jej na wieś wyjechać.

O powrocie jednak Władysława nie było żadnej wzmianki. On przecież uwagi na to nie zwrócił, i nic dziwnego! Nie był Duchem Świętym, aby wiedzieć, co w Warszawie mówią o jego stosunkach z bankierową.

Mimo to list ten przeraził Wilskiego.

— Helenka widocznie jest chora — myślał. — Może to co groźnego?... Muszę wracać.

Wieczorem, jak zwykle, poszedł do pani Welt, a gdy od niej wrócił, napisał list do żony. Prosił ją, aby koniecznie na wieś wyjechała, i doniósł, że wkrótce sam do niej przyjedzie.

Nim zasnął, zdawało mu się, że widzi żonę swoją bladą i smutną, która z ogromnej odległości wyciąga do niego rączki szczupłe i jak alabaster przejrzyste.

— Ty wrócisz?... — mówiło echo.

— Jeżeli zobaczę Helenkę, wyrzeknę się Amelji—szepnął, a potem dodał:

— Zrobiłbym wielkie głupstwo!...

Obudziwszy się, wysłał list, a w parę dni potem odebrał telegram, że Helenka już wyjechała na wieś. Pobiegł do pani Welt i wesoło zawołał:

— Wracajmy!

— Czas już wielki — odpowiedziała.

I wrócili znowu razem i znowu na dawnej stopie.

— Jeszcze jeden dzień!... — myślał Władysław. Przekłęte szczęście!...

VII. OSTATNIE SZCZEBLE

W końcu czerwca, Welt wyjechał zagranicę, zostawiając majątek pod opieką żony, a żonę pod opieką przyjaciela. Miasto trzęsło się od plotek, o których osoby interesowane, jak zwykle, najmniej wiedziały.

Helenka pisywała do męża niewiele i rzadko. Gdyby uważniej czytywał jej listy, uleczyłby się może prędzej. Na nieszczęście, nie był teraz zdolnym do tego. Płynęły miesiące, a on szalał i mizerniał, zaniedbując wszystko i wszystkich.

Pani Welt dostrzegła to, i gdy raz byli sami, rzekła:

— Wyglądasz pan dziś bardzo interesująco.

— Czy nie domyślasz się pani powodu? — zapytał stłumionym głosem.

— Mój Boże! znam się wprawdzie trochę na finansowości, ale o medycynie nie mam pojęcia — odpowiedziała, patrząc na brylant swego pierścionka.

— W tym razie wystarcza znajomość najpospolitszych uczuć ludzkich!... — rzekł, przysuwając do niej krzeselko.

— Najpospolitsze uczucia ludzkie nie zasługują na to, aby się nimi zajmować — odparła wyniośle.

Wilski zerwał się z krzesła i w najwyższym wzburzeniu zawołał:

— Czuję, że powinienem uciec od pani!...

— A ja czuję, że powinieneś pan zostać! — szepnęła, patrząc mu figlarnie w oczy.

Władysław usiadł znowu i wziął ją za rękę.

W tej samej chwili jednak ktoś zadzwonił i wszedł do salonu.

W końcu sierpnia, kiedy miłosne uniesienia Władysława dosięgły zenitu, odebrał on od Grodzkiego z Londynu telegram tej treści:

„Z modelami zrobiłeś mi przykry zawód. Odeszlij przynajmniej notatkę, którą ci zostawiłem”.

Depesza ta rozgniewała Wilskiego, bez namysłu więc odpisał:

„Zwracam pieniądze, notatka gdzieś zginęła.”

Na to nie odebrał już odpowiedzi.

Większą część dnia przesiadywał u bankierowej. Gdy była z nim, pożerał ją wzrokiem; gdy wyszła, myślał o niej, lub z rozkosznym niepokojem przysłuchiwał się szelestowi jej sukni.

Pewnego dnia, w czasie jej nieobecności, ukląkł i ucałował miejsce na dywanie, które zazwyczaj dotykały jej stopy.

Począł miewać widzenia na jawie coraz częstsze, a niekiedy symboliczne. Raz zdawało mu się, że na skrzydłach z listów zastawnych wleciał na szczyt wysokiej skały, z której zaraz potem spadł w przepaść.

Innego dnia, jakoś we wrześniu, wracając do swego mieszkania, spotkał na schodach dawną znajomość. Był to ów litościwy sąsiad z poddasza, rękawicznik, strasznie wynędzniały i ubogo ubrany.

— Ach! to pan?... — rzekł Władysław, otwierając drzwi.

— A ja! Przyszedłem... Przyszedłem dowiedzieć się o zdrowiu jaśnie pana — odparł biedak, zdejmując czapkę.

— Dziękuję! Tak, mam się nieźle! — rzekł Wilski i zamknął drzwi za sobą.

W kilka godzin później pomyślał, że niegdyś karmiciel jego musi być w ciężkiej potrzebie. Zaprzagnął dowiedzieć się o jego mieszkaniu i w tym celu chciał zadzwonić na służącego. Wyciągnął

nawet rękę, ale że dzwonek stał na drugim końcu biurka, dał więc pokój.

Nie było to znudzenie ciała, ale coś nakształt psucia się duszy. Piorun orzeźwiłby go niewątpliwie.

Miewał też chwile opamiętania. W jednej z takich chwil rzekł do siebie:

— Trzeba raz skończyć!...

Postanowienie to musiało być bardzo poważne, Wilski bowiem orzeźwił się po nim i z wyrazem stanowczości w fizjognomji poszedł do bankierowej.

Zastał ją w karecie; wyjeżdżała właśnie do Botanicznego Ogrodu. Otrzymawszy zezwolenie, usiadł obok niej i pojechali razem.

Gdy byli w ogrodzie, Amelja rzekła:

— Patrz pan, jak już liście więdną!

— Liście więdną, serca więdną... Tylko kiedy dla pierwszych wiosna powtarza się co rok, dla drugich jedna jest tylko wiosna i jedna jesień.

Słowa to były prorocze, on jednak nie wiedział, do kogo się odnosiły.

Zajęli ławkę na małym wzgórzu, skąd cudny roztaczał się widok.

— Tu — mówiła Amelja — gnieźdzą się w maju roje słowików. Często siadałam tu i przysłuchiwałam się ich śpiewom. Ale teraz już odleciały...

Wilski oparł rękę na kolanie, głowę na rękę i milcząc, patrzył w ziemię.

— Uważam, że jesteś pan jakiś nieswój.

— Masz pani rację! — odparł, podnosząc głowę — nie jestem swój, ale...

— Ale?

— Ale... twój!...

Wziął ją za rękę; uściśnęła go lekko i patrzyła mu w oczy dobrotliwie.

Uczuł gwałtowne bicie serca, szum w uszach i... przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się.

Wtedy otoczył ją ramieniem i przysunął swoją pałającą twarz do jej twarzy.

— Nareszcie!... — szepnął.

— Panie! — zawołała błagalnym głosem — zaklinam cię, wyjdźmy stąd...

Powstał już inny. Czuł siły i pewność siebie, o których oddawna zapomniał. Podał Amelji rękę, przyjęła i szła niepewnym krokiem.

Gdy siedli do karety, osunęła się w głąb i przymknęła oczy.

Konie pędziły jak wiatr, a w kilka minut potem byli już w domu.

Wbiegła prędko na schody i weszła do buduaru, a Wilski obok niej. Gdy padła na fotel, ukląkł i przypił się do jej ręki.

— Ty mnie kochasz — mówił — powiedz, że mnie kochasz. Niech choć raz dowiem się prawdy!...

W pokojach był mrok.

Wróciwszy do domu, zasnął twardo, i sen cofnął go o kilka miesięcy wstecz. Marzył, że się żegna z Helunią.

Żona jego była dziwnie mizerna; z jej niegdyś szafirowych, a teraz pobladłych oczu płynęły łzy. Uwiesiła mu się na szyi, lekka i nieujęta jak mgła, i bezdźwięcznym głosem szeptała:

— Powrócisz?... ty powrócisz!

Zerwał się na równe nogi i uczuł na twarzy dwie łzy gorące. Pot zimny oblał go, ręce mu drżały.

Była dopiero czwarta rano.

Nie położył się już i sam na kominku ogień rozpałił.

Siedząc przed ogniskiem, patrzył na dogorywające główne i myślał... Co myślał? Ty, Stwórco, znasz niepokoje sumienia, które szarpią kły zgryzot! Około siódmej rzekł:

— Jestem już inny!...

Pewnem jest, że miliony swoje oddałby teraz za żebracze łachmany, byleby w fałdach ich znalazł spokojność. Przekląte szczęście!

VIII. DE PROFUNDIS

— Tak, jestem inny! — mówił Władysław. — Gdy los zdjął ze mnie uzdę niedostatku, zawróciło mi się trochę w głowie, ale dziś wytrzeźwiałem.

Zresztą, może się i lepiej stało. Nabrałem doświadczenia, a choć straciłem trochę czasu, majątek przecież jest nietknięty!...

W tej chwili przyszła mu na myśl żona. Wyjął jej fotografię z biurka i wpatrywał się długo i rzewnie.

— Czy przebaczysz mi?...

Uśmiechnięte usta Heluni z całą łatwością wyszeptały wy? raz przebaczenia, lecz niestety! uśmiech ten z innych pochodził czasów.

Wilski był wesoły jak dziecko; otworzył okno, z rozkoszą upajał się chłodnym powietrzem poranku i cieszył się widokiem złotych chmur, które wędrowały, Bóg wie skąd, może z tamtych stran, gdzie Helenka mieszka obecnie?

— O, gdybym ci mógł teraz upaść do nóg, aniele mój, najczystsza duszo!... — szepnął.

Zadzwoił, wszedł służący.

— Zamów mi ekstrapocztę na dziś wieczór, na dziewiątą — rzekł Wilski.

— Rozumiem...

— Ale, ale!... Co się stało z naszym kanarkiem?

— Zdechł, proszę jaśnie pana.

— Kupie teraz dwa: samca i samiczkę, i klatkę z gniazdem.

Służący wyszedł.

— Jerzy! — zawołał znowu Wilski, a gdy służący wrócił, dodał:

— Czy nie wiesz, co się dzieje z Mateuszową, która u nas dawniej służyła?

— Służy teraz na Piwnej ulicy; była tu nawet parę razy.

— Sprowadzisz ją do mnie i powiesz, żeby podziękowała za miejsce, bo wróci do nas.

Po chwili dodał:

— Jeszcze słowo! Gdzie mój warsztat i narzędzia?

— Na strychu, jaśnie panie.

— Trzeba je oczyścić i ustawić w moim pokoju. Służący wyszedł, trzymając się za głowę.

— Chryste elejson! — mówił prostaczek — a to coś do niego przystąpiło!... Jeszcze i nas gotów porozpędzać.

I za chwilę podzielił się wiadomościami z kucharką i pokojówką.

Wilski tymczasem szybko ubierał się, mówiąc:

— Ucieszy się, gdy jej wszystko opowiem. O, Heluniu!... O, błogosławione miliony!...

Począł coś wesołego gwizdać, lecz nie tyle z radości, ile raczej dla przytłumienia niepokoju, który gdzieś na dnie duszy nurtował.

Gdy wyjechał do miasta, wstąpił do biura telegrafu i napisał do Grodzkiego depeszę:

Serdecznie cię przepraszam za mimowolny zawód. Byłem chory. Przyjeżdżaj natychmiast, najlepiej odrazu z dymisją. Telegram ten wysłał do Londynu i Petersburga.

— Dzielny to umysł! — mówił Władysław. — Przy jego pomocy odgrzebię najpraktyczniejszy z moich planów i zacznę żyć...

...Dla ciebie, Heluniu! a przez ciebie dla innych...

Potem pojechał do uniwersytetu zasięgnąć wiadomości o ubogim studencie. Po wielu

poszukiwaniach spotkał jego kolegę.

— Co się dzieje z W.? — spytał.

— Dokładnie panu nie potrafię powiedzieć — odparł student. — Wiem tylko, że się wypisał z uniwersytetu i wyjechał na guwernerkę, gdzieś aż na Podole.

— Dlaczego się wypisał? — zawołał przerażony Władysław.

— Co pan chce! Trudno się uczyć, mając w gotowiźnie dziesięć palców.

— To pierwszy! — mruknął Wilski i pojechał do biura adresowego dowiedzieć się o rękawiczniku.

Dano mu trzy adresy.

Jeden z nich zaprowadził go na ulicę Ogrodową, gdzie znalazł jakiegoś nieznanego człowieka.

— Mam jeszcze dwa!

Zamknął oczy i ciągnął na los szczęścia.

Tym razem pojechał na Pragę i dowiedział się, że adresat jest brukarzem.

Z trzecią kartką dostał się aż pod Wolskie roгатki. Wszedł do parterowego drewnianego domku i znalazł w nim izbę ciasną, ciemną i wilgotną, lecz próżną.

— Gdzie jest rękawicznik, który tu mieszkał? — spytał stróża, dając mu rubla do ręki.

— Kto go tam wie, jaśnie panie! Tydzień temu jak go zlicytowali i podział się gdzieś z synkiem.

— Miał przecie żonę i troje dzieci?

— Żonę? Mieszkał tu od ś-go Jana, alem żony nie widział, a dwoje najstarszych dzieci zmarły jeszcze w sierpniu.

— Drugi... trzeci i czwarty... — szepnął Wilski. — Chciałem do Helenki pojechać z faktami, ale mi ich widać zabraknie... O, Boże!

Nad wieczorem znalazł w biurze telegraficznym odpowiedź. Z Petersburga odpisano:

Grodzki jeszcze nie wrócił. Z Londynu zaś:

Grodzki wyjechał.

— Pewnie wraca morzem — pomyślał Władysław i wysłał znowu telegram do Petersburga, błagając przyjaciela, aby natychmiast przyjechał.

Tymczasem Grodzki wracał lądem i już opuścił Berlin. Depesze nie znalazły go.

Wilski od rana nie był u siebie i nic nie jadł; trucizna niepokoju starczyła mu za najlepsze potrawy. Do domu też wrócić nie miał odwagi; wszedł więc do Saskiego Ogrodu, upadł na ławkę i pogrążył się w bolesnych dumaniach.

— Cztery ofiary!... — mówił. — Ja jestem winien, to prawda!... ale za co oni cierpieli i cierpią?

Zapomniał, że ludźmi, prócz praw moralnych, rządzą jeszcze prawa fizyczne. Zapomniał też, że społeczeństwo jest całością, w której, gdy jedna cząstka nie pełni swoich obowiązków, giną inne.

Gdy wrócił do mieszkania, służący, który mu drzwi otworzył, patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Czy nie było kogo? — spytał Wilski. Był list.

Władysław chciał zapalić świecę, ale rozsypał zapałki. Palce zeszywniały mu, i służący musiał go wyręczyć. List, pisany przez nieznaną osobę, był tej treści: Wielmożny Panie i Dobrodzieju!

Aczkolwiek obcy, ośmielałem się wziąć pióro do ręki i parę tych wyrazów, w interesie jego zacnej i świątobliwej małżonki nakreślić. Do tej pory wyraźne życzenie tej szlachetnej i wzorowej pod każdym względem białogłowy postanowienia moje hamowało.

Nie mówiąc wiele, bo to w podobnych wypadkach jest najgorsze i często prowadzi do wyrzeczenia tego, czego człowiekby nie chciał, uwiadamiam Wielmożnego Pana Dobrodzieja z wszelką ostrożnością, że też Jego najszanowniejsza małżonka ma się wcale niedobrze. Powiedziałbym: bardzo niedobrze, ale nie chcę przedwcześnie trapić go wiadomościami, które i tak

zbyt prędko, niestety!... Wilski już nie kończył. Spojrzał tylko na drugą stronę zapisanego arkusza i przekonał się, że list pochodzi od miejscowego proboszcza.

Z gorączkowym pośpiechem narzucił na siebie futro, wziął pieniądze i w tej chwili wyjechał na pocztę, gdzie zażądał czterech koni. W godzinę potem był już daleko za miastem.

Na drugi dzień, około piątej wieczorem, pocztyljon z ostatniej stacji, który wiozł Władysława, odwrócił się do niego i wskazując biczyskiem na wzgórek, okryty żółkniejącymi już drzewami, rzekł:

— Oto tu, jaśnie panie, folwark Boża Wola...

— Boża Wola? — powtórzył Wilski.

— Piękny majątek, jaśnie panie!... Ziemia pszenna, las niewycięty, nowy dwór, na stawie młyn... Zwyczajnie jak u rzetelnej szlachty.

— Boża Wola!... — wyszeptał Władysław. Przejeżdżali około ogrodu, z poza obumierających drzew którego widać było białe ściany dworu. Wilski rzucił pocztyljonowi pięć rubli, wysiadł z bryczki i przeskoczył niskie sztachety.

— O, to mu pilno!... — dziwił się pocztyljon, trzymając czapkę w rękach.

Władysław zadyszany, nieprzytomny, przebiegł ogród i stanąwszy na szczycie wzgóрка, przez szklane drzwi oplecionego winogradem ganeczku, ujrzał kilka wysokich świec, ustawionych w jednym rzędzie.

Zamknięte na klucz drzwi przysły pod naciskiem jego ręki.

Na niskiej, okrytej dywanem sofie, w czarnej wełnianej sukience (którą znał tak dobrze w dniach ubóstwa!), z krzyżem w głowach i świętym obrazkiem w rączkach, otoczone zapalonemi świecami, leżały zwłoki Heluni.

Wilski usiadł na krześle, oparł załamane dłonie na kolanach i patrzył bezmyślnie na jedną ze świec, z której duże krople roztopionego wosku spływały.

W uchylonych drzwiach widać było głowy ciekawej służby, która szeptała między sobą:

— To pewno mąż?... Jużci, że mąż!...

Po upływie paru minut weszła jakaś stara kobieta, widocznie szafarka. Przeżegnała się, parę razy westchnęła i stanąwszy obok Władysława, zaczęła mówić szpitalnym głosem:

— Ach! biedactwo, a takie młode i dobruteńkie!... że też to Bóg miłosierny nie wolał śmierci na mnie starą dopuścić!... Robiłam ja, panie, com mogła. Dawałam jej mleka codziennie świeżego, wody żywiczej, kwasu ogórkowego, okadzałam, zażegnywałam, ale wszystko na nic! Choruteńka już, niebożę, przyjechała z Warszawy!... Mówiłam nieraz: trzeba jaśnie panu dać znać, ale ona: nie!... i nie!... A w ostatnim już tygodniu powiedziała: „Moja Borkosiu! wynieście mnie na górkę, stamtąd lepiej widać!...” I po całych dniach, mówię panu, nic — tylko słuchała, czy gdzie bryczka nie zatrajkocze, czy kto drzwiami nie skrzypnie. Ale że nikt nie jechał, ani wchodził, to mówiła po cichu: „Oj! już ja go widać nigdy nie zobaczę... Nigdy!...” W ostatnim dniu kazała sobie dać papier i ołówek. Myślałam, że będzie list pisać, gołąbka moja, ale gdzie zaś!... Pisała tylko: „Władzie.. Władzio... mój Władzio!... Już nigdy nie wróci!...” Ale, prawda! jaśnie pan po podróży. Może pan jajeczniczy pozwoli, bo tak na razie niema nic z mięsa...

Wyszła z pokoju i już za drzwiami kończyła: --- A światłość wiekuista niechaj jej świeci!... Władysław wstał z krzesła, popatrzył na żółtą jak wosk twarz zmarłej, na ciemne jak glina powieki i ściskając ją za chłodne i zeszywniałe rączki, szepnął:

— Heluniu, to ja!...

Zdawało mu się, że widzi żonę swoją w oknie górnego pokoju, nasłuchującą turkotu bryczki.

— Heluniu! to ja... — powtórzył. — Już jestem!... spojrzij na mnie...

— O, już go nigdy nie zobaczę!... nigdy!... — mówiło widmo.

— Ja przecież jestem, spojrzysz na mnie, Heluniu!... — jęknął Wilski.

— Tak długo czekam i nie doczekam się nigdy!... — szlochało widmo, rozplywając się we mgle.

Na drugi dzień proboszcz i gromadka ludzi odprowadzała czarną trumienkę na wiejski cmentarz.

W połowie drogi orszak ten spotkał bryczkę pocztową, z której wyskoczył Grodzki i stanął obok postępującego za trumną Władysława.

Przez cały czas Wilski był prawie nieprzytomny. Nie patrzył na nikogo i milczał.

Na cmentarzu jakiś głos odezwał się:

— Otwórzcie trumnę, może ją jeszcze zechce zobaczyć.

Władysław zdawał się nie słyszeć tego. Nie słyszał też ciężkiego łoskotu bryli ziemi, walącej się na trumnę, ani żałosnych dźwięków pieśni:

„Witaj Królowo nieba i Matko litości!” Gdy už wszyscy towarzyszący pogrzebowi rozeszli się, Grodzki dotknął ramienia Władysława i rzekł:

— Chodź ze mną...

— Jestem przeklęty! — odpowiedział Wilski.

— Jesteś tylko chory. Chodź ze mną.

— Czekala mnie... czy ty słyszysz?... Czekala i czekać będzie w tym strasznym grobie, ale już nie zobaczy mnie nigdy... nigdy!...

Upadł z jękiem na ziemię, rozkrzyżował ramiona i w konwulsyjnym uścisku objął świeżą mogiłę.

Przygotowano na podstawie bookini.pl